34

W końcu pobili Hrapeszka. Nie był to ani Millefiori, ani Fritz. Przynajmniej tak się zaklinali, kiedy już się to wydarzyło. Za winnych zostali uznani jacyś nieznani sprawcy z francuskiego regionu, mogli to też być Niemcy lub Włosi. Jako motyw pobicia uznano odmienność Hrapeszka.

Hrapeszko był tak zmęczony codziennymi obowiązkami, że kiedy doszło do tego nieprzyjemnego zajścia, nie zdążył nawet mrugnąć, nie mówiąc o chwyceniu za swoje nożyce.

Podczas bicia zastanawiał się, za jakie grzechy go to spotyka:

Gdyby był piątek… Nie był.

Gdyby był przystojniejszy… Nie był.

A gdyby był spokojny… Oczywiście był.

Dlaczego więc dostaje takie baty? Przez moment pomyślał, że to sama Mandalina, nie znosząc go, mogła coś podobnego zaplanować. Jednak w całym tym zajściu wydarzyło się coś pięknego, co od razu oddaliło od niej wszelkie podejrzenia.

W wyniku pobicia był tak opuchnięty, że nie widział na oczy. Całkowicie. Otto bardzo się tym przejął, ale tylko dlatego, że wiązało się to z przerwą w dmuchaniu i spadkiem dziennej produkcja aptecznych, piwnych i wszelkich innych butelek – czyli również z obniżeniem dziennego przychodu.

W domu każdy miał swoje obowiązki, więc Otto nie mógł zmusić swojej grubej żony Gertrudy, żeby opiekowała się Hrapeszkiem – zresztą ostatni raz dotykała męskiego ciała, gdy wspólnie z Ottonem robili Mandalinę. Dlatego gruba Gertruda nie wchodziła w rachubę. Wszystkie domowe służące miały również swoje obowiązki. Dlatego właśnie poprosił córkę, by zadbała o oczy Hrapeszka, bo i tak, zdaniem Ottona, całymi dniami próżnowała.

I tu tkwiło piękno. Przyszła do łóżka, w którym leżał z dwoma olbrzymimi siniakami zamiast oczu, i zaczęła je obmywać.

Nie jest prawdą, że Hrapeszko w ciągu tych wszystkich lat nawet nie pomyślał o żadnej kobiecie. Myślał z pewnością. Swój głód zaspokajał dziwkami z drugiej strony gór. Rzadko, dlatego że oszczędzał. Gdy jednak tylko poczuł dłonie Mandaliny na swoich policzkach, coś znów się w nim obudziło. Hrapeszko nie doznał jeszcze tyle czułości i dobroci. Jakby płatki śniegu spadały na jego oczy.

Zaczął marzyć o dalekich krainach, o miejscach, w których nigdy nie był, a gdzie chciał pojechać, myślał o dziewczętach z jego rodzinnych stron, o ich sukienkach i kłującej trawie, która zawsze czepiała się jego spodni, kiedy biegał po łąkach.

Mandalina zaczęła go opatrywać plastrami zimnego ogórka. Były jak miód na rany. Zimne jak mróz i gładkie jak szkło. Przydarzyła się im też rozmowa, która na zawsze zmieniła myślenie Hrapeszka o Mandalinie. On rozpoczął.

– Mandalino, chciałbym pani coś pokazać.

Nie mógł tego zobaczyć, ale przeczuwał, że jest zaskoczona i uniosła ze zdziwieniem brwi albo się odwróciła.

– Zanim to pani pokażę, proszę o dyskrecję z pani strony.

– Dlaczego pan sądzi, że nic nie wydam?

– Tego nie wiem, tylko tak pomyślałem. W każdym razie, jeśli pani nie chce, to nie musi.

Nic nie odpowiedziała. Wstał z łóżka i powiedział:

– Proszę, niech się pani na chwilę odwróci.

– Panie Hrapeszku! Będzie się pan rozbierał?

– Niech się pani nie martwi, nic z tych rzeczy się nie stanie, ale chciałbym coś pani pokazać, będzie to ściśle związane z pomocą, której od pani potrzebuję.

„Szkoda” – pomyślała Mandalina, a potem dodała, że w takim razie w porządku i zaraz się odwróci.

Jednak się nie odwróciła. Wtedy zobaczyła, że Hrapeszko powoli, macając spodnie, najpierw prześlizgnął dłońmi po skórzanym pasku, a potem wsadził rękę do kieszeni. Drżącymi dłońmi wyciągnął z niej szmatkę.

Ręce mu się trzęsły. Te same ręce, którymi tak mocno chwycił Mandalinę, nieco niżej, niż dopuszczają chrześcijańskie reguły zachowania. Teraz drżały, trzęsły się.

Z tymi ciemnymi, spuchniętymi siniakami wokół oczu wyglądał jak małe dziecko. Naprawdę zrobiło się jej go żal. Zaczął uważnie rozkładać przesiąkniętą od potu chusteczkę, tę samą, którą zwykł wiązać sobie na czole, gdy topił i chłodził szkło.

Wyciągnął z niej dwa okrągłe szkiełka czerwonego koloru, złączone z drucikiem, i założył sobie na oczy.

Współczucie Mandaliny nagle zniknęło. Była tak zaskoczona, że o mało się nie zdradziła, musiała się powstrzymać, by nie wybuchnąć śmiechem.

– Teraz może się pani odwrócić.

Nie wiedziała, co zrobić, śmiać się czy płakać. Patrzyła na Hrapeszka, człowieka z ogromnym torsem i wielgachnymi rękami, całego czarnego, brudnego, może trochę śmierdzącego, jak stoi przed nią z dwoma czerwonymi szkiełkami zamiast oczu. Wyglądał jak gigantyczna mucha.

– Fräulein Mandalina?

– Tak?

– Odwróciła się pani?

– Tak.

– I?

– I co?

– Co pani na to powie?

– A co mogę powiedzieć?

– Podoba się pani?

Czy jej się podoba? Nawet o tym nie pomyślała. Wszystko, co jej się w tej chwili podobało, to jego poczucie humoru, które ją rozbawiło. Nic więcej. O jakimkolwiek podobaniu się, jak zwykło bywać pomiędzy młodymi, nie było mowy. Hrapeszko jednak ją śmieszył, z tymi czerwonymi okularami, zasłaniającymi nabrzmiałe siniaki wokół jego oczu. W końcu nie odpowiedziała, bo Hrapeszko ściągnął szkiełka i zawinął je z powrotem w trzymaną w dłoni chusteczkę. Wyciągnął za to inne, w kształcie trójkątów, i te założył.

Nie wytrzymała, zaczęła się śmiać.

– Dlaczego się pani śmieje?

– Pan wygląda jak pszczoła.

– Co w tym złego, że wyglądam jak pszczoła, Fräulein Mandalina?

– Nic. Tylko, że naprawdę wygląda pan śmiesznie. W każdym razie śmieszniej niż z tymi siniakami wokół oczu. Dobry sposób na kamuflowanie, nie ma co!

– A nie! To nie jest do kamuflowania, zrobiłem je, żeby chroniły mi oczy od mocnego ognia.

– Ciekawe. Nigdy nie pomyślałam, że… A widać coś przez nie?

– Owszem, widać… Zupełnie inny świat, dużo lepszy od naszego, zwykłego. W ogóle… chce pani sprawdzić?

Mandalina odwróciła się, tak jakby była na rynku i chciała sprawdzić, ilu ludzi w tej chwili się jej przygląda, ale nie zobaczyła nikogo. To był taki jej zwykły odruch. Naprawdę chciała spróbować. Dlaczego nie? Kto mógłby ją w ogóle zobaczyć? Hrapeszko poczuł, jak stawia drobne, lekkie kroki, zbliżając się do niego, jak delikatną jak piórko dłonią wyciąga z brudnej chusteczki czerwone okulary i je zakłada.

Nagle świat stał się czerwony. Wszystko było czerwone. Nigdy wcześniej nie pomyślała, że będzie zachwycała się czymś tak głupim.

– Chce pani zamienić? – Hrapeszko wyciągnął żółte trójkąty i podał jej, by założyła.

Świat stał się żółty. O wiele wcześniej, nim nastał najazd Chińczyków.

Stojąc tak naprzeciw siebie, ona z żółtymi oczami, a on z podsiniaczonymi, patrzyli na siebie przez chwilę. Przez szkła wydawało się jej, że Hrapeszko nie wygląda aż tak źle.

– Mam jeszcze coś – powiedział i włożył rękę do drugiej kieszeni. Wyjął stamtąd małego motylka z czarnego szkła, z żółtymi kropkami na skrzydełkach.

Mandalina szybko zdjęła okulary i zaczęła się zachwycać.

– To dla pani.

– Dla mnie? Pan to zrobił?

– Tak. Mogę pani też dać szkiełka na oczy, ale będzie pani śmiesznie wyglądała. Mnie przy piecu nikt nie zobaczy, a nawet gdyby, to są to przecież okulary do pracy.

Mandalina wpatrywała się w motylka.

– Dziękuję. Czym sobie zasłużyłam na ten prezent?

– Po pierwsze, chciałem panią przeprosić za ten incydent w czasie pani upadku, po drugie, chciałbym, żeby mnie pani broniła przed mistrzem, kiedy zobaczy moje okulary. Wie pani, w końcu korzystałem z jego materiałów – powiedział Hrapeszko.

– Aha – odrzekła – czyli to jest łapówka? Na pewno pan wie, że nasze rozchody nie pozwalają na marnotrawienie materiału, z którego robimy szkło. Nasze finanse, o włos, wychodzą na zero. To, co pan tu ukradkiem wyrabia, bez niczyjej wiedzy, bardzo szybko wyjdzie na jaw i naprawdę nie wiem, jak dalej będą się rzeczy miały. Pan pozwoli, ale muszę powiedzieć, że może tutaj dojść do utraty zaufania.

Tak mówiła Mandalina, podczas gdy serce Hrapeszka coraz bardziej kurczyło się ze strachu.

– Ale ja tylko…

Więcej nie rozmawiali. Następnego dnia, jak tylko opuchlizna oczu trochę ustąpiła, musiał wrócić do pracy. Od razu założył czerwone okulary i zabrał się za topienie szkła. Oczywiście Millefiori i Fritz dostali po jednej parze, czym chciał pokazać swoje zaangażowanie w innowację produkcji na wypadek, gdyby w końcu został przejrzany.

35

Następnego wieczoru Mandalina brała kąpiel. Mogła jeszcze trochę poczytać albo czesać włosy. Gdyby zajęła się czesaniem, mogłaby zmienić dalszy bieg wydarzeń. Jednak nie, ona długo się kąpała.

Stała w środku drewnianej balii z wysoko podniesionymi rękami, podtrzymując włosy. Polewała ciało ciepłą wodą. Z piersi, pośladków i szyi unosiła się gorąca para. Następnie natarła ciało mydłem, przesuwając dłońmi po wszystkich możliwych krągłościach. Mandalina marzyła, by zamiast niej robił to ktoś inny, ale nie dawała tego po sobie poznać, a zresztą sama nie wiedziała, kto by to mógł być. Oczy miała zamknięte, gdy nagle, całkiem przypadkowo, bez żadnego ostrzeżenia, pod powiekami, tam gdzie zwykle po zamknięciu oczu pojawiają się najróżniejsze wzory, gwiazdy czy nawet część głębi wszechświata – ukazał się Hrapeszko.

Był wyprostowany, dumny i oczywiście – brudny. Z jego ciała ulatywały trujące opary szkła, włosy miał tłuste, a na jego ustach malował się uśmiech.

Mandalina otwarła oczy i przerażona straciła równowagę. Omal nie upadła. A potem znowu to samo.

Powróciła do marzeń. Tym razem wyobraziła sobie delikatne dłonie młodej dziewczyny, która miała nie więcej niż trzynaście lat, jak mokrą ścierką przesuwa po jej krągłościach. Przeszły ją dreszcze. Nie chciała przyznać, że to się jej podoba, a jednak nie przestawała.

Tak więc marzenia te trwałyby tak w nieskończoność, gdyby znowu nie zamknęła oczu. Gdy to zrobiła, zagłębiła się w parę gorącej wody, a pod powiekami znowu, jak zjawa, ukazał się Hrapeszko.

Oprawiony był w futrynę okienną. Mandalina uśmiechnęła się i powoli zaczęła otwierać oczy, chcąc w ten sposób wypędzić Hrapeszka ze swoich myśli.

Otwarła oczy. Nic. On znowu stał tam, za oknem, oprawiony w nieprzyzwoitość nocy i z idiotycznym uśmiechem na twarzy. Ponownie zamknęła oczy. On znowu tam był. Otworzyła je. Bez zmian.

Mandalina zrozumiała, że Hrapeszko naprawdę gapi się na nią zza okna, obserwując ją już od jakiegoś czasu. Mogła krzyknąć, uskoczyć z miejsca jak zając, złapać ręcznik i się nim okryć, rzucić jakimś przedmiotem w Hrapeszka. W innym miejscu to wszystko skończyłoby się miłością albo śmiercią.

Nic jednak takiego się nie wydarzyło. Pozostała przed nim naga, nawet nie mrugnęła okiem. Może tylko jej spojrzenie było inne niż zwykle, srogie. Hrapeszko przestraszył się jej wzroku i odwrócił głowę, ale nie odszedł. Wciąż stał w oknie. Naga Mandalina podeszła i otworzyła okno.

– To najbardziej prostacka rzecz, jaką mogłeś zrobić. Jesteś zwykłym wieśniakiem, bałkańskim niedźwiedziem, nigdy nie będziesz miał w sobie choćby krzty delikatności, twój zwierzęcy instynkt zawsze będzie cię zmuszał, by robić to, co masz w genach. Ty, Hrapeszko, nigdy nie będziesz kulturalny i miły, dlatego że tam, skąd pochodzisz, w tej dżungli, z której przyjechałeś, nigdy kultury nie było, były instynkty. Wy nie kierujecie się rozumem tylko emocjami. Muszę ci przypomnieć, w związku z twoją prośbą, że było mi wszystko jedno i nie powiedziałam, że cię będę bronić, i nie okazałam ci żadnego przyzwolenia, byś mógł mnie podglądać w czasie kąpieli. To możesz robić ze swoimi niedźwiedziami i lwami, tam, w tym twoim przeklętym lesie i dżungli. I zrozum jeszcze jedno, to, że patrzysz na mnie nagą, nic nie oznacza. Rozumiesz?

Mandalina zaskoczyła samą siebie swoimi słowami, potraktowała je jako pozory, które miały pokazać, że posiada dobry, moralny charakter, chociaż w głębi duszy w ogóle się tym nie przejmowała.

Hrapeszko, z rozdziawioną gębą i wybałuszonymi oczami, odwrócił się i odszedł. Na oknie zostawił aksamitne, czerwone zawiniątko. Powiedział jeszcze tylko:

– To dla ciebie…!

Zamknęła okno i przeszły ją dreszcze, wszystkie włoski na jej plecach nastroszyły się. Poczuła, że zawartość czerwonego aksamitu może zmienić bieg historii i jej życie w ogóle.

Rozwinęła pakunek i ukazała się najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziała. Był to łabędź Hamsa, zrobiony z matowego kobaltowego szkła, ze złotymi oczami i koroną. Całe jego ciało było kombinacją złota i szkła. Przybliżyła go do światła świecy; sama wyglądała jak nagi posąg trzymający w wygiętej dłoni łabędzia Hamsa. Zaczęła patrzeć poprzez niego, jej oczom ukazał się rozległy ocean, przez który przezierały wszystkie kolory, jakie wymyślił Bóg, przeplatały się w tej niezgłębionej głębi.

– Mandalino, biedna Mandalino – powiedziała do siebie.